

*Die 28 octobris nowego stylu, 18 starego stylu
Żukino, granica polsko-moskiewska, południe*

Wszystko było już postanowione i obmyślane, rozkazy wydane, a pułki i chorągwie rozciągnięte w marszu na północ, ku granicy. Teraz nie sposób się było cofnąć, nie utraciwszy czci i szlacheckiej fantazji, która dla pana Dydyńskiego była droższa więcej niż cnota własnej matki.

Dymitr prowadził szczupłą wyprawę przeciwko carskim armiom czającym się w lodowatym mroku północy, porozkładanym na leżach w Wielkim Księstwie Moskiewskim, koło Orła, Kurska, Krom i Moskwy. Na co liczył? Zapewne na husarię i cud, choć cudem był już sam fakt, że w Ugliczu i po ucieczce do Polski carewicz kilka razy uchodził z rąk siepaczy Godunowa. Dlatego carscy popi pospołu z jezuitami i bernardynami wypatrywali nowych znaków świadczących o pomyślności wyprawy. Niestety, kometa widziana na Ukrainie już znikła, niebo było szare jak ołów, mgły – ciężkie niczym popiół rozsypany w powietrzu – zapowiadały schyłek jesieni.

Był dwudziesty siódmy października, kiedy dotarli do Żukina. Skoro świt ruszyli dalej – najpierw Dońcy, potem konne

czaty Zaporozców, które mknęły po polach i lasach jak ptaki. Za nimi szły chorągwie husarskie i kozackie, dalej reszta wojska. I nagle, zupełnie niespodziewanie, wyrósł przed nimi pagórek za lasem, a na wzniesieniu sterczał samotny kamienny krzyż z wyrytym godłem Rzeczypospolitej – Orłem i Pogonią. Graniczny znak wyznaczający niewidoczną linię między tą dziedziną, którą na kartach map zwano Europą, a wielkim białym obszarem określanym jako Terra Incognita, Hyperborea, a tylko na niektórych mapach: Terra Moscovia lub Moscovia.

Dymitr przejechał obok bez słowa, bez gestu, ale idące za nim, rozciągnięte w długim pochodzie roty zatrzymywały się na chwilę. Szeregi carskiej chorągwi także zafalowały. Ktoś modlił się cicho i żegnał, u innego załśniły na policzkach łzy ocierane ukradkiem.

Dydyński widział, jak Przybyłowski zeskoczył z konia, by ucałować po raz ostatni rodzinną ziemię. Jak pan Rudomina podniósł jej garstkę i schował do kalety. Inni towarzysze cisnęli się konno i pieszo do pomnika, który stał samotnie smagany wichrami, mrozem i deszczami, zapewne od czasów ostatnich komisji delineujących, to jest wyznaczających granicę państwa carów i Polski. Husarze i pocztowi żegnali się, błogosławili krzyżami, a miny mieli całkiem nieszczerbne.

– To już Moskwa – wyszeptał Świrski.

– Tam, przed nami?

Dydyński poczuł, że drżą mu dłonie. Postawił swój los na jedną kartę, tak samo jak tysiące podobnych mu straceńców. Zeskoczył z kulbaki, zbliżył się do pozostałych, trzymając Hetmankę za uzdę. To było zadziwiające; aż do tej pory nie czuł Boga w sercu, niechętnie klękał przed nim w kościele, lecz tutaj, na krańcu świata, gdy widział, jak towarzysze biją się w piersi, skrapiają łzami ostatnie piędzi ojczystej ziemi albo zabierają jej okrucz na pamiątkę, niczym skazańcy pędzeni knutem do Moskwy, poczuł, jak nogi uginają się pod nim. Ukląkł, złożył ręce do modlitwy, przeżegnał się... Cóż mógł uczynić więcej?

Zabrzmiała trąbka.

– Wracać do szeregów, mości panowie bracia! – zagrział Gogoliński. – Cóż to, strach was obleciał?! Ruszać się, do diabła!

Dydyński wstał godnie jak szlachcic polski, wspierając dłoń na szabli. Tuż obok zamajaczył pociemniały od odrostów łeb Borysa, który zgiął się wpół na widok krzyża.

– Nie niepokójcie się, ojczulku! – wyszeptał. – Nie taka straszna święta Ruś, bo ja tu o was będę miał staranie...

Oboleński upadł na kolana i zaczął bić pokłony, wznosząc przy tym oczy ku niebu, jak gdyby nagle zobaczył tam wszystkich moskiewskich proroków i świętych.

– Dostojno jest jako woistinu błażiti Tia Bohorodicu, Prisbnobłazennuju i Prenieporocznuju i Matieri Boha naszeho – zaintonował. – Czestniejszuju chieruwim i sławniejszuju biez srawnienija sierafim, biez istlenija Boha Słowa roźdszuju, suszczuju Bohorodicu Tia wieliczajem...〈63〉

Borys miał rację. Tu, na granicy, zaczynała się najzdradliwsza część moskiewskiej peregrynacji, w której Jacek zdany będzie na spryt i wierność dawnego sługi Dworu. Oboleński szczerze mówił o opiece czy też szykował okrutną zemstę? Co zrobi na ogromnych, pokrytych lodem przestrzeniach? Pozostanie wierny czy zdradzi szlachcica? A może nagle odkryje prawdę o fałszywym przemienieniu Dydyńskiego w sługę Dworu i zadławi go jak tłustą gęś, nim Lach zdoła dobyć szabli? Tak czy owak, stolnikowic pomyślał od razu, że nie zawadziłoby dać mu już tutaj, na granicy, lekcji pokory.

Jednym ruchem dobył szabli, przyłożył nagie ostrze do szyi Moskala. Borys zamarł z wytrzeszczonymi oczyma, skulony na kolanach przed Dydyńskim, jak smolny pniak przed wyniosłą brzozą.

– Jeśli spróbujesz mnie zdradzić – wysyczał szlachcic do ucha Oboleńskiego – tedy klnę się na wszystkich ruskich diabłach i prorokach, że rozwałę ci łeb na dwie połowy tak szybko, że jedna polecą na Krym, a druga do Smoleńska! Rozumiesz, moskiewski psie? Jeśli tak, tedy zapamiętaj sobie moje słowa!

63 patrz przypisy końcowe

– Słuszajus', ojczulku. Gdzieżbym zdradził – zajęczał Borys. – Ja wierny jak sobaka...

– Schył głowę! Nadstaw karku!

Oboleński posłusznie się skulił. A wtedy szlachcic wstąpił na pochyły grzbiet i wsiadł po słudze na koń, jak tatarski chan po karku wielkiego kniazia Moskwy w czasach, gdy księstwo płaciło daninę Tatarom.

Dydyński poszedł skokiem, dogonił chorągiew, zanim Gogoliński dostrzegł jego nieobecność w szeregach.

Jakiś koń podjechał do wymęczonego, utyłanego w błocie Borysa. Pocztowy husarz wyciągnął rękę.

– Wstań, przyjacielu.

Oboleński podniósł się z wolna, unosząc głowę. Nie patrzył na Damiana Nieborskiego, który podjechał doń na podjezdku.

– Raz jeszcze przyjmij podziękowania, mospanie. Gdyby nie twoja wola i ręka, pohasałbym z rybami na dnie Dniepru.

– Nie trzeba. Nie lzia.

– Przyjmij też przeprosiny... Za mego pana.

– Wola boża i gosudarska jednego nad szeregi wynosi, innemu hardy kark schyla – rzekł twardo Borys. – Lecz myli się ten, kto sądzi, że ma jakiś wpływ na los. Tylko Najwyższy włada naszym życiem jako car, on zaś nagradza tylko tych, co umieją czekać i patrzeć. Czekać na upadek hardych i wypatrywać sposobności, by wzbic się do anielskiego blasku. A wtedy... Biada tym, co z wyżyn pychy upadają w otchłań. Śmierć jest taka, jakie było życie człowieka.

Borys uniósł do góry zaciśnięte w pięści dłonie, w których ścisnął grube grudy moskiewskiej ziemi. Ścisnął tak mocno, że aż białą mu knykcie.

Die 28 octobris n. st., 18 st. st.

Trakt do Morawska, kilka chwil później

– Okrutnie poniewierasz Borysa – mruknął Świrski. – Dziwne, bo nigdy nie widziałem, abyś znajdował rozkosz w batożeniu

chłopów i czeladzi. Jak głęboko zalazł waści za skórę, że przy każdej okazji wyzywasz go od psów?

– A co ci do tego, panie Herakliusz?!
 – To, że w bój idziemy. I wypadałoby darować sobie grzechy. Nie chciałbym mieć przed sobą Moskali, a za plecami sługi, co gotów mnie pojechać kindziałem, jeśli Fortuna nie dopisze. Zwłaszcza takiego pachółka, co wyrwał życie towarzysza broni ze śmiertelnej pułapki i nie doczekał się za to ciepłego słowa.

– Borys to Moskal, a nie nasz brat. Bez czci, bez fantazji, bez honoru. Starczyłoby słowo zwierzchności, a żywcem by ciebie ze skóry obłupił. Musi znać, że jego miejsce w psiarni, nie za stołem. Czuć, że uwiera go obroża i kaganiec.

– Panowie towarzysze gadają o tym, żeś niewdzięczny – rzekł cicho pocztowy. – Konfundujesz Moskala, co ci pocztowego z Dniepru wyciągnął.

Dydyński nic nie odrzekł.

– Ale może powinienem rzec prawdę. I wtedy rzec, że wasza mość poniża Oboleńskiego, aby ukryć... strach.

– Będę Borysa trzymał krótko, jak psa! Głupis, Świrski.

– Za to wasza miłość zapewne pozamieniał się na rozumy z samym Cezarem. Słyszałem o jednym Włochu albo Szocie, co się zwał Julius, wołali go Cezar, a trzymał w arendzie miasteczko Wodzisław pana Hieronima Lanckorońskiego. Frant był i przechera wielki, póki mu chłop nie wlaź na gruszę w sadzie dworskim. Ujrzawszy go, Julius zaczął mu grozić, że na śmierć jak psa zatłucze, poniżał go, krzyczał, obrażał, całkiem jak wasza mość Borysa. A wtedy winowajca, bojąc się kaźni, zlaź i tak odwinął w łeb Cezarowi kijem, że zaraz na miejscu go zabił. Zła korona, gdzie chłop ci cesarzy kijem biją... Rozważ to sobie, waszmość...

– Zamilcz już!

Pocztowy urwał. Dawno nie widział swego pana tak rozwścieczonego.

A Jacek spojrzął przed siebie i wówczas spostrzegł w powietrzu drobne białe płatki, jak gdyby ktoś w niebiosach rozpruł wielką pierzynę.

- Śnieg.
- Będzie go więcej.

Szli dalej wzdłuż Desny, stepami bez kresu i końca. Jechali przez dąbrowy, klonowe i lipowe bory, gdzie na drzewach dogorywały ostatki złotych liści. Mijali bagna i trzęsawiska, czasem pokryte pierwszym, zdradliwym lodem, innym razem znów błyszczące od wody i parujące. Śnieg padał coraz większy i gęstszy, pokrywał okolice białym całunem, wciskał się pod opony i delie, zasypywał czapaki i czołdary.

Byli już całe mile od granicy i nigdzie nie napotkali nawet żywego ducha, gdy nagle gdzieś z północy doszedł do nich niski, brzękliwy głos przebijający się przez zawieję śnieżną jak poprzez puchową pierzynę. To były dzwony Morawska. Trudno dociec, czy były na trwogę, czy na powitanie carewicza.

I nagle dziw nad dziwy! Przed czołem pochodu przez śnieg i wiatr przedzierała się kozacka czata, otaczając grupę Moskali w futrzanych czapach wysokich jak kominy gorzelni, opatulonych w szuby i pikowane kaftany aż po same szyje. Na widok Dymitra nieznajomi posypali się z koni jak dojrzałe gruchy. I oczywiście uczynili to tylko po to, aby zaraz, moskiewskim obyczajem, zaryć się brodatymi gębami w błocie i śniegu przed kopytami konia carewicza.

– Gosudarze, cariu! Wasze Prześwietne Wieliczesstwo! Prawy nasledniku na kremłowskiej stolicy! Z Bożej miłości kniazia, wielki księciu wsieja Rusi i mnogich państw obładitielu! Ratuj nas, słońce prawosławne, samowładco nasz umiłowany, od gniewu Godunowych! – zawołał najgrubszy z nieznajomych, przyodziany w szubę, to jest długi i gruby moskiewski kaftan, z którego rękawów i kołnierza wystawała sobola sierść. Wojewoda Mniszech ocenił ją od razu na dobre pięćdziesiąt złotych, o ile sobole nie były przypadkiem królikiem albo tchórzem.

– Wstańcie z kolan i mówcie, co się dzieje! – odparł Dymitr. – Czasu szkoda.

– Wszyscy jesteśmy posadzczy ludzie z Morawska – załkał opasły jak skop Moskal. – Przyszliśmy tobie carewiczowi do

nóg upaść i prosić, byś raczył wojsko do miasta wprowadzić. My wszyscy chrześcijanie bramy chcemy otworzyć. Cóż, kiedy wojewodowie nasi, bliaduny, wrota zawarli, wieże strzelcami obsadzili. Ale kiedy Wasza Carska Mość ukaże nam się z oddali, zaraz podniosą się serca i niechybnie bunt w mieście wybuchnie! Tak my błagamy, raby i chołopiszki wasze, aby wyszli nam na pomoc!

Dymitr rozejrzał się piorunującym spojrzeniem po swoich doradcach, zwłaszcza tych, którzy razem z Dworyckim odradzali mu marsz na Siewierszczynę.

– Mości panowie! Natychmiast ruszamy pod Morawsk!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki